ROK TRZECI.

№ 29.

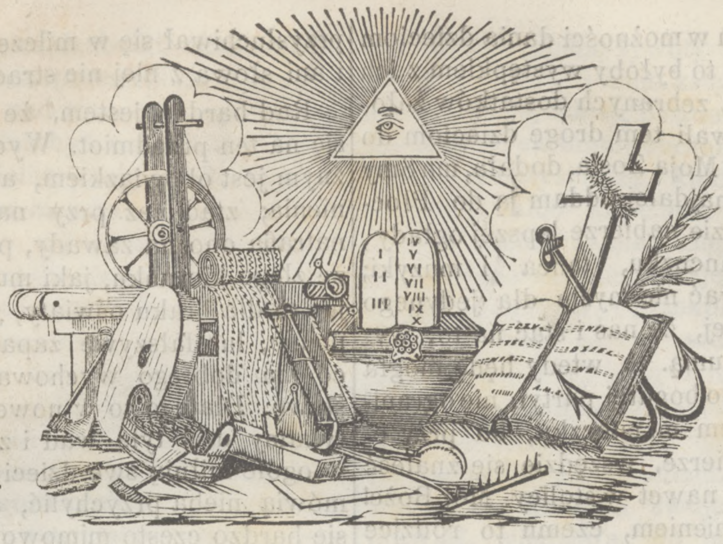
Warszawa

Dnia 6 (18) lipca

1858.

Niedziela

8ma po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie! nadzielaj nas zawsze z Twej łaskawości duchem myślenia o prawych rzeczach i chęcią dopełnienia dobrego, abyśmy, którzy bez Ciebie istnieć nie możemy, ustawicznie według Twej woli żyć starali się. (Kolekta na Niedzielę ósmą po Świątkach).

Niedziele u Grzegorza.

V.

(Patrz nr. 14 Czytelni)

—

W którąś znowu niedzielę zeszli się znajomi do Grzegorza— byli między nimi: stolarz Wierzba z żoną i córką, organista, p. Mydlarska żona zamożnego fabrykanta świec z miasteczka i kilka innych osób; wogóle jednak zebranie mniej było liczne jak zwykle, a to z powodu odpustu w Skępem, na który się wielu mieszczan Żuromińskich udało. Gawędka toczyła sę to o tem, to o owem, jak to zwykle bywa, wreszcie zeszła do wychowania dzieci. P. Wierzbina cioteczna siostra Grzegorza utrzymywała, że dzieci należy wychowywać w bojaźni Bożej, a na przyszły pożytek ludziom, to jest w pracy, mierności i zamiłowaniu stanu, w jakim się urodziły; a nie dawać im jakiejś tam wytwornej edukacyi, dodając, że tak wychowała swoję Kasię i ma z niej prawdziwą podporę i pociechę—tak też będę wychowywać i resztę dzieci, któremi mię Bóg obdarzył, mówiła dalej, a pewna jestem, że kiedy córki moje będą pracowitemi, rządnemi i uczciwemi kobietami, to nie osiądą na koszu i każda wyjdzie za mąż za porządnego człowieka. A gdyby nawet która i niedostała męża, boć to rozmaicie bywa, to wtedy zaprawiona od młodu do pracy, mierności i statku, zawsze sobie na kawałek chleba zarobi. Nie pojmuję, rzekła wkońcu, tych nowomodnych wymysłów niektórych naszych rzemieślniczek, co chcą wychowywać swoje dzieci, zwłaszcza córki, jako paniątka w próżniactwie, zbytkach, co im dają edukacyę nad stan z wysiłkiem krwawo zapracowanego grosza, marząc dla nich o świetnych partyach. To też złe już się i do małych miasteczek wkrada w zbytkowych strojach, w kapeluszach i czepkach, które jak u nas naprzykład, to aż z Płocka sprowadzać i przepłacać trzeba.

Pani Mydlarska wbrew przeciwna wyobrażeniom p. Wierzbiny, przerwała jej mowę i zaczęła dowodzić z zapałem, że kiedy Opatrzność pozwoli się rodzicom dorobić, a tem

ame m postawi ich w możności dania dzieciom wyższej edukacyi, to byłoby występkiem z ich strony, iżby na nią zebranych dostatków żałować mieli, i tamowali tem drogę dzieciom do zrobienia karyery. Moja Zosia, dodała, ma 8my rok, za dwa lata najdalej oddam ją do Płocka, do *madam*, gdzie nabierze lepszej ogłady, wyuczy się pofrancuzku, tańca i muzyki; gdyż na nic żałować nie myślę dla jedynego dziecka, tem więcej, że nas i stać na to, wyrzekła z pewną dumą. A wtedy będę mogła pomyśleć dla niej o bogatej partyi, nie ograniczając się na małem miasteczku, bo przy edukacyi jaką odbierze, wszędzie się znaleść potrafi, chociażby nawet w stolicy. Mój Boże! dodała z westchnieniem, czemu to rodzice moi nie mieli ani moich wyobrażeń, ani naszych środków, kiedy byłam w wieku mojej Zosi; wtedy nie byłabym pewno życia mojego zagrzebała w Żurominie. To też nauczona doświadczeniem, chcę od podobnego losu moją córkę uchronić.

Los jednak p. Mydlarskiej, od którego córkę chciała uchronić, nie zasługiwał bynajmniej na podobne znieważenie. Mąż jej był człowiekiem uczciwym i pracowitym, przemysłem i starannością dorobił się znacznej fortuny, posiadał jeden z najporządniejszych domów w Żurominie, a za miastem folwark i około czterech włók gruntu; fabryka i sklep przytem opatrzone były należycie. Żona więc jego, którą bardzo kochał, opływała we wszystkie wygody, ale że jak to mówią: *chleb ma rogi*, to i p. Mydlarskiej jakieś fumy chodzić zaczęły po głowie i ze wszystkiego była niekontenta, choć jej sąsiadki losu zazdrościły. Łatwo jej było i bezpiecznie rozwodzić się ze swemi żalami, ponieważ mąż wyjechawszy za kupnem łoju do Sierpca, nie był na zebraniu obecnym. Zgadnąć bowiem nietrudno, iż nie byłby bardzo rad podobnej mowie swojej połowicy.

Ta sprzeczność zdań dodała niezwykłego ognia rozmowie, w której pomału wzięli udział obecni, jedni popierając Wierzbinę, drudzy Mydlarską; ale kiedy obiedwie strony upierały się zacięcie przy swojem i żadna ustąpić nie chciała, wtedy organista, przyjaciel pokoju i zgody, wniósł, ażeby spór ten oddać pod doświadczony sąd gospodarza; na co gdy się strony zgodziły, stary Grzegorz, który przysłuchiwał się w milczeniu całej rozmowie i ani słowa z niej nie stracił, tak się odezwał:

Rad bardzo jestem, że rozmowa zwróciła się na ten przedmiot. Wychowanie dzieci ważnym jest obowiązkiem, a niełatwym do spełnienia; ztąd też przy najlepszych chęciach natrafia ono na zawady, pochodzące głównie ze złego kierunku, jaki mu rodzice nadadzą, już to dla braku oświaty, już też przez zaślepienie, lub fałszywe zapatrywanie się na to, co ma dobrego wychowania stanowić podstawę. Dlatego to w nowem pokoleniu napotykamy dziś tyle wad i zdrożności. Rodzice w ogóle miłują swe dzieci i radziby im, jak to mówią nieba przychylić, a pomimo to stają się bardzo często mimowolną przyczyną niedoli i cierpień w dalszem ich życiu. Obiedwie wy tu naprzykład, tak wy moja sąsiadko, mówił, zwracając się do p. Mydlarskiej, jak i moja krewniaczka Jakóbowa, jesteście zacnemi kobietami i przywiązanemi matkami, każda jednak z was inaczej się zapatruje na swoje obowiązki, względem wychowania dzieci. Sądu i zdania mojego w tak ważnej kwestyi narzucać wam nie chcę, boby to i niewiele pomogło; wolę to pozostawić własnemu waszemu przekonaniu, ograniczając się na opowiedzeniu wam jednej prawdziwej historyi, której właśnie przedmiotem jest odmienny sposób wychowania dwóch krewniaczek, a która jak mniemam, rozwiąże wątpliwość przedmiotem sporu waszego będącą.

Obecni po tem zapowiedzeniu zasiedli stołki i ławki bliżej Grzegorza, a stary rozpoczął opowiadanie w te słowa:

W Krakowie, dawnej stolicy naszych królów, mieszkało dwóch rodzonych braci: jeden z nich był krawcem, a drugi stolarzem. Obaj mieli wiele roboty, bo byli porządni, rzetelni, w wykonywaniu roboty sumienni, a przytem nie zdzierali kupujących; w krótkim też czasie przyszli do zamożności. Obadwaj jednocześnie prawie pożenili się; i zostali ojcami licznych rodzin; najstarsze ich córki były niemal rówienniczkami. Jedna otrzymała imię Izabelki, druga zaś Rozalii; imieniny i urodziny Izabelki przypadały 3go września, a Rózia zaraz nazajutrz takąż uroczystość obchodziła.

Lecz nie we wszystkiem, tak jak w urodzeniu i w latach, zbliżone były do siebie owe

dziewczynki. Rodzice Izabelki, matka zwłaszcza, uwiedzeni tak powszechną dziś chęcią wynoszenia się nad stan, chociaż w prostocie swojej bardzo byli szczęśliwi, chcieli córkę swoję na wielką panią wykierować, a niepomni na to, że niejednemu wybicie się z własnego stanu na złe wyszło, niestosowne zaś wychowanie zgubiło, taką zamierzyli dać córce edukacyę, jak gdyby Bóg wie jaki majątek i położenie towarzyskie posiadała.

Izabella chodziła na najpierwszą pensyę, uczyła się różnych języków i nauk, brała lekcyę grania, śpiewania i tańca, suknie i stroje robiła jej najpierwsza modniarka; to też wbiła się w dumę i zarozumiałość. Lekceważyła rodziców, gdy nie umieli wcale pofrancusku, i nie znali nawet z nazwiska tych różnych nauk, któremi jej głowę zaprzątano; ubolewała nadto, że się córką rzemieślnika urodziła, niemiłym jej był schludny ich domek, bo żaden z możnych panów z wizytą do niego nie zawitał. Brzydziła się domowem gospodarstwem, szyciem, kuchnią, handlem; podobne zatrudnienia zdawały jej się poniżeniem. Kilka godzin trawiła codziennie na pensyi, wróciwszy do domu, grała na fortepianie, śpiewała czytała francuskie romanse, ubierała się coraz w inne suknie, i czasami kwiatek na kanwie wyszyła; ale pomimo tych wszystkich nauk, strojów i zbytków, nie była szczęśliwą. Na pensyi gniewały ją bogatszych i znakomitszych rodziców koleżanki, a w domu wszystko ją tylko nudziło. W każdem zdarzeniu okazywała swoję mniemaną wyższość względem rodziców i osób, które do nich uczęszczały, z uboższymi obchodziła się dumnie, a tak ani od domowych, ani od sąsiadów, ani od rówiennic swoich lubioną nie była.

Rózię zupełnie inaczej chowano. Rodzice posyłali ją do niższéj szkółki, gdzie nauczyła się dobrze czytać i pisać popolsku, katechizmu i rachunków; matka wyćwiczyła ją we wszystkich robotach kobiecych, i Rózia w trzynastym roku skończyła swoję edukacyę. Codzień rano wstawszy i pomodliwszy się, pomagała matce w porządkowaniu i gospodarstwie. Chodziła często z kucharką do miasta, wróciwszy, ubierała swoje siostry i braci, czytała z niemi, zaglądała do kuchni, a przez resztę dnia szyła dla siebie, lub dla rodzeństwa. Czasem w długie wieczory zimowe czytała głośno żywoty świętych niewiast, dzieje krajowe, i inne książki moralne i naukowe dla jej wieku pisane. Zawsze była porządnie ale skromnie ubraną; prawdziwą było dla niej uroczystością, kiedy jej matka nową sukienkę, albo kapelusik sprawiła. Nieustannie czemś zajęta, ciągle była wesoła, zadowolona ze stanu swojego, kochała i szanowała rodziców, i przekonaną była, że nie ma w świecie całym szczęśliwszej od niej dzieweczki. I tak było w istocie; Rózia pełna cnoty i niewinności słodkie dnie pędziła. Nietylko matce, ale i ojcu była pomocą: utrzywywała jego rachunki, lubiła się przysłuchiwać, kiedy o swojem rzemiośle rozprawiał, wiedziała, po jakiej cenie każda sztuka mebli, i często, kiedy przyszedł kto z kupujących, a nikogo starszego w domu nie zastał, sama załatwiała sprzedaż, uprzejme zaś jej obejście się z każdym, wesołość i otwartość wielu kupujących przyciągały. Wszystkie sąsiadki duszą i sercem przywiązane były do Rózi, gdyż każdą mile przyjęła, każdej przysłużyć się chciała; wszystkich umiała zabawić, rozweselić i do dobrego swoim przykładem zachęcić. Ktokolwiek też Rózię bliżej poznał, każdy ją kochał i chwalił; w jednym tylko domu nie oddawano jej sprawiedliwości, i to w domu stryjecznej jej siostry.

— Na cóż zda się cały ten majątek, mówiła matka Izabelli, kiedy go użyć nie umieją, cóż pannie po posagu bez edukacyi? Jaka nieszczęśliwa ta Rózia, dodawała Izabella, prawdziwie żal mi jej. Co z niej będzie? wcale pofrancusku nie umie, fortepianu nawet w domu niema. Doprawdy, gdyby nie to, że jest moją stryjeczną siostrą, tobym zaprzestała u niej bywać; nie wiedzieć, o czem z nią mówić, nic nie wie, nic nie umie, nic nie widziała i nawet żadnéj niema ciekawości.

— Jednak Rózia mi się podoba, przerwał ojciec, kiedy usłyszał taką kobiet swych rozmowę; lubię ją... zawsze wesoła, wszystko robi ochoczo. Jak tam pójdę, to już nie wie, gdzie mnie ma posadzić, tak mi rada. Śliczne przytem umie roboty i zna się na kuchni. Byłem niedawno u nich na obiedzie, prawie cały sama przyrządziła, nie mogłem się odjeść wybornych potraw.

— Zrobili z niej dobrą kucharkę i szwaczkę,

rzekła Izabela z szydzącym uśmiechem, to właśnie, czego im trzeba było.

Tak obie dziewczyny doszły do lat szesnastu; Izabela codzień większych nabierała tonów i grymasów, Rózia codzień stawała się milszą. Ale że niema nic stałego na świecie, toż i pomyślność tych dziewcząt nie trwała długo. Jednej nocy, było to dnia 18 lipca 1850 r. wybuchł gwałtowny pożar, który większą połowę miasta obrócił w perzynę; pewnieście i wy o nim słyszeli, boć potem w całym kraju zbierano składki na pogorzelców krakowskich. Dom za domem, dzielnica za dzielnicą płonęły, a pomiędzy temi i schludne domki rodziców Izabelli i Rózi poszły z dymem; zaledwie zdołały biedne z rodzicami i rodzeństwem ocalić życie, i naraz ujrzały się wśród pogorzeliska, bez przytułku i bez mienia.

W kilka dni po owym nieszczęśliwym pożarze, gdy nieco z pierwszego przerażenia ochłonięto, umieściwszy się w jednej izdebce na przedmieściu, oświadczył ojciec Izabelli, że nietylko na dalszą edukacyą, ani na stroje łożyć nie może, lecz że należy jej wybić sobie z głowy wszelkie fanaberye pańskie, a wziąć się szczerze do pracy i gospodarstwa. Na te słowa zaczęła Izabella gorzko płakać, mówiąc, że nigdy już nie potrafi przyzwyczaić się do podobnej pracy, i że nie jest stworzona na sługę. Zgromił ją ojciec surowo, spojrzał z wyrzutem na żonę, wzruszył ramionami i poszedł szukać pociechy i rady u brata, równem dotkniętego nieszczęściem. Tam wszystkich zastał spokojnych; gdy bowiem położenie swoje rozważyli, widzieli, że po utracie mienia, zostały im zdrowe ręce do pracy, że za parę lat przy oszczędności i dobrym rządzie, część szkody nagrodzą. Z dwóch sług odprawili zaraz jednę; Rózia z chęcią podjęła się ją zastąpić i oświadczyła rodzicom, że jeszcze staranniej wszystkiego ochraniać i pilniej pracować będzie, byle ich widziała spokojnych. Pocieszyli się więc zupełnie i właśnie dziękowali Bogu, że się nie dali uwieść nagannym przykładem, dając Rózi edukacyę nad stan, kiedy nadszedł ojciec Izabelki.

Zaczął ubolewać przed niemi i żalić się na córkę. Żałowali go i cieszyli się jak mogli; namawiali, żeby się starał wybić jej pańskie tony z głowy i zrobić z niej dobrą gospodynię, ale już było zapóźno; w szesnastym roku trudno kogo przerobić. Nie pomogły prośby i upomnienia, zwłaszcza, że oboje rodzice byli dla niej zbyt słabi, zbyt pobłażający; biedna matka wszystko za nią i za siebie robić musiała, a Izabella zawsze smutna, w złym humorze, chudła i mizerniała. Ojciec dobrowolny nie mogąc oprzeć się prośbom córki i naleganiom żony, zamiast w rzemiosło wkładać, tracił na jej stroje. Izabella znowu grała, śpiewała i elegantowała się jak dawniej. Widząc wszakże, że mienie ojca już dogorywa, przyjęła hołdy bogatego choć starego rozpustnika i z nim tajemnie ujechała do Warszawy, okrywając wstydem i hańbą dom rodzicielski. We dwa lata później widziano ją znacznie zmienioną, ale zawsze dość jeszcze urodziwą, w obowiązkach bufetowej w jednej z kawiarni Warszawskich, pod przybranem imieniem Ludwisi.

Co do Rózi, ta od roku najszczęśliwszą jest żoną; sąsiad jej, uczciwy, młody i zamożny rzemieślnik nie mógł obojętnem okiem patrzeć na jej domowe cnoty, prosił o jej rękę, i otrzymał ją. Rózia mieszka wpobliżu swych rodziców, którzy zapomnieli już doznanej straty; widuje się codzień z nimi, i kochana od wszystkich, zawsze jest równie wesołą i przyjemną.

Taki to różny los spotkał dwie stryjeczne siostry, rzekł, kończąc swoje opowiadanie stary Grzegórz, podobnie jak różne było ich wychowanie. Nie sądźcie wszakże z tego, aby nauka sama w sobie złą była, ale stosować ją należy do stanu, w jakim Opatrzność kogo umieściła, ale poprzedzić ją należy wpojeniem zasad religii i moralności, będących podstawą każdego uczciwego społeczeństwa.

Z prawdziwej tej powieści wyczerpnij zacna sąsiadko, rzekł, zwracając się do zamyślonej p. Mydlarskiej naukę, jak masz prowadzić i jakie dać wychowanie swej Zosi. Ale jest już późno, dodał, spoglądając na zegar z kukawką wiszący na ścianie; życzę wam więc dobrej nocy kochani sąsiedzi, a nie zapominajcie o starym i odwiedźcie go, a opowiem wam o tej słynnej pogorzeli Krakowa, z której się dotąd nieszczęśliwy ten gród podźwignąć w zupełności nie może.

—Zgoda! zgoda, odpowiedzieli mu tłumnie, nie zapomnijcie tylko o tem Grzegorzu, a teraz zostajcie z Bogiem, i każdy poszedł w swoję stronę.

O farbowaniu drzewa.

V.

(Dokończenie, patrz nr. Cz. 27).

7. *Farba niebieska.*

Jeden łut miałko zmielonego dobrego indygo roztwarza się w 4ch łutach dymiącego czyli Nordhauzeńskiego witryoleju (acidum sulphuricum fumans). Te dwa materyały dobrze wymieszane, pozostawiają się kilkunastogodzinnej maceracyi w naczyniu szklanem; poczem rozprowadzają dwoma funtami wody, a płyn otrzymany ogrzewa się do stopnia wrzenia; odstawia się go z ognia, wrzucają się do niego płatki czyste wełniane np. białej flaneli lub multanu i tamże przez 24 godzin pozostawiają, w którym to czasie zabierają one całkowicie farbnik niebieski z cieczy, stając się niebiesko-czarnemi, ciecz zaś traci kolor niebieski, a zatrzymuje brudny, dowodzący pozostałych w niej obcych części zabrudzających indygo handlowe. Płatki wełniane tak napojone farbnikiem niebieskim, mogą być wtedy wydobyte z płynu; należy je płukać w wodzie miękkiej zmienianej, póki ta czysta odchodzić nie będzie. Następnie potrzeba je nalać słabym ługiem, złożonym z jednego funta wody miękkiej i jednego łuta potażu handlowego, wszystko poddać wrzeniu, dopóki płatki nie stracą prawie całkowicie farby niebieskiej, która rozpuszczając się, przejdzie do płynu. Ten ostatni przekwasza się lekko witryolejem, iżby otrzymał smak limoniady, rozpuszcza się w nim 2 łuty ałunu, a skoro stygnąc, stanie się letnim, można nim wtedy farbować drzewo.

Jasno-niebieski wyprowadza się, rozcieńczając farbę znaczną ilością wody. Jeśli nie idzie o bardzo piękny niebieski kolor, można wtedy używać poprostu roztworu indygo w witryoleju, rozprowadzonego wodą miękką, pamiętając dodać do tego roztworu ilość potażu handlowego, równą wadze zawartego w nim indygo. Ostatni sposób farbowania na niebiesko dokonywa się, napuszczając drzewo rozpłynem wodnym siarczanu miedzi oczyszczonego od soli żelaznej; po wysuszeniu wciera się nakoniec wywar gorący, powstały z drzewa niebieskiego, czyli kampeszu.

8. *Farba żółta.*

Sposób pierwszy nadania tej barwy zasadza się na zaprawieniu drzewa solucyą wodną ałunu, albo też roztworem cyny w wodzie królewskiej; farbuje się zaś odwarem drzewa żółtego albo kwercytronu. Słaby ług węglanu potażu czyni tę barwę ciemniejszą. W sposobie drugim używa się bejcy złożonej z 30 części wody i 1ej ałunu, takową drzewo przez parę godzin ma być napawane, poczem farbuje się odwarem wodnym kurkumy, moczy wodą i suszy; ług węglanu potażu przemienia ten kolor w czerwono-brunatny.

Serwaser sam, lub nieco rozwodniony farbuje powierzchnią drzewa także na kolor żółty. Żywy pomarańczowy wyprowadzić można orleanem, którego 2 części sproszkowane mieszają z 4ma węglanu potażu i 20 wody; wszystko gotuje się, a gdy ostygnie, dolewa się 1 część amoniaku, a wtedy ciecz do użytku jest przygotowana.

9. *Farba zielona.*

Nadaje się naprzód rozpłynem jednej części krystalizowanego grynszpanu w 12tu częściach wody. Powtóre używa się do tego celu, płynu powstałego z rozpuszczenia 1ej części grynszpanu francuskiego, 1ej kamienia winnego w 8miu częściach mocnego octu, rozgrzewając nieco w naczyniu miedzianem, dopóki sole powyższe nie rozpłyną dobrze w kwasie. Albo też drzewo zaprawione poprzednio nażółto, pociąga się roztworem indyga; albo nakoniec farbuje się odrazu płynem złożonym z odwaru drzewa żółtego, zrobionego podług wskazania pod liczbą 8, do którego dodano w miarę żądanego odcienia solucy. indygowej, opisanej przy kolorach niebieskichi

---

Bractwo pracujące.

—

Ciemność nocy ustępowała, na parafialnej dzwonnicy w Starem-mieście wybiła piąta. Kaleka okryty grubą burką w wytartej wojskowej furażerce siedzący u studni, zadmuchnął palącą się latarkę i postawił obok glinianej miski z takimże kubkiem.

Latarka, miska, kubek, kilka kart nabożnej książki stanowiły jakby wędrowne gospodarstwo starego Tomasza.

Wkrótce słońce ukazało się zza wyniosłych dachów, spiesząc na dzienną pracę, jak ci robotnicy, których rój wysypany z różnych

zaułków i ciasnych uliczek, w gwarnym i raźnym pochodzie zmierzał do studni.

Plac Starego-miasta wkrótce się ożywił; skrzypiały drzwi otwierających się sieni, stróże zamiatali rynek, ozwały się dzwony w kościołach; kaleka nasz rozpoczął ranny pacierz. Cała gromadka robotników otoczyła go przy studni.

— Tomaszu! już rozpoczynasz swoję modlitwę?

— Tak jest, jest to najpierwsza poranna, którą zawsze ofiarowywam za was robotnicy. Dobrze, żeście zdążyli przed jej końcem, mogę jeszcze krzyż zrobić nad waszemi głowami.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! zawołano ze wszech stron.

— Kiedy ty nie zapominasz o modlitwie za nas, my także według zwyczaju, przy poniedziałku, przy rozpoczęciu tygodnia na szczęście pierwszy grosz przynosimy tobie.

I sypnęły się miedziaki na glinianą miseczkę.

— Bóg zapłać, i poszczęść na cały tydzień, rzekł Tomasz, i przy tych słowach spojrzał uważnie na czeladnika ślusarskiego, który zamiast grosza, położył mu ze smutkiem na miskę kawałek czarnego chleba.

— Antoni, tyś widzę dziś nieswój?

— Tak, bo nie mogę wam dać grosza, jak zwykle szepnął młody robotnik, chowając resztę chleba za pazuchę. Żona mi od pięciu dni chora, pięć dni kupuję lekarstwa z apteki, wyszedł mój zapas tygodniowy, dziesiątka została w domu, a ja z kromką chleba idę zarobić żonie na lekarstwo.

Żebrak zamyślony patrzył w glinianą miseczkę, robotnicy z współczuciem słuchali słów towarzysza, które Tomasz przerwał w ten sposób:

— Słuchaj Antoni! co tydzień dajecie mi waszą jałmużnę, codzień ja Bogu ofiaruję pacierz za was; jesteśmy wszyscy jedno bractwo pracujące wedle sił i możności, winniśmy sobie pomagać. Mój zarobek dzisiejszy większy jest niż potrzeby, boć jeszcze wczorajszych groszów z odpustu zostało — weź go więc Antoni, dla żony na lekarstwo, będziesz miał dzień spokojniejszy.

Robotnik nie śmiał dotknąć jałmużny starca kaleki, wahał się, choć w oczach tlała chęć poratowania żony; wszyscy otoczyli go dokoła.

— Hola! Tomaszu, nie możesz naszych praw przywłaszczać sobie wyłącznie, my wszyscy składamy bractwo pracujące. Antoni jest z tego bractwa; od nas wszystkich pomoc mu się należy. Każdy da po piątce, a ty dasz piątkę także, i talar jak nic się uzbiera. Zaczynajmy składkę.

Padały piątki w kubek Tomasza; mularze mieli słuszność, talar jak nic się uzbierał. Antoni przełożył go w swoję kieszeń, jedną łzą braciom podziękował i powtarzając w sercu przysięgę służenia im wiecznie w potrzebie, zniknął w zakręcie ulicy.

— A teraz, zawołała wesoła gromadka, składając piły i młoty na ziemię, teraz Tomaszu upompuj nam wody.

Stary poruszył korbą, woda jak kryształ chlusnęła na kamienie—robotnicy brali ją w ręce, myjąc się u tej prostej, staro-miejskiej fontanny. Każdy czem mógł, otarł twarz i dłonie, kubkiem Tomasza zaczerpnął wody do popicia czarnego chleba, i ufny w Bogu, wdzięczny Mu za zdrowie, siłę, za ciepłe słońce, zabrał swe narzędzia i biegł na robotę pośpiewując:

Wszak najmilszą Ci się zdała
Pracującej ręki chwała.

Tomasz słaby, niedołężny, poraniony na wojnie wspomniał sobie młode lata pełne trudów i chwały, a podniósłszy wgórę oczy, jeszcze raz błogosławił Ojca Niebieskiego, że ludziom dał tyle serca czułego na niedolę braci, a sił do zapracowania na kawałek chleba.

Szkółka wiejska.

Pod tym tytułem wyszła książeczka w księgarni Glücksberga, w roku 1856 — napisana ona jest przez p. Antoninę Machczyńską dla dzieci włościańskich głównie, ale zdać się może i dla wielu innych; obejmuje bowiem w sobie piękne nauki i powieści, które z przyjemnością i korzyścią się czytają.

Dlatego opiszę wam tu ogółowo rzeczoną książeczkę, a ktoby chciał poznać szczegóły, niech się w niej sam rozczyta.

We wsi Walentynach zebrała się w niedzielę gromadka wiejska przed chałupą Mateusza, najstarszego gospodarza, nazwanego ojcem kmiotków. Ten Mateusz chodził zamłodu

do szkółki wiejskiej w Jarzębnie, gdzie się nauczył czytać i pisać. Otóż teraz rozpowiadał on ciekawym, jak zacna i dobra dziedziczka założyła tę szkółkę dla dziatwy wiejskiej, w której dawny wojak, staruszek już o siwych włosach, był nauczycielem. Mateusz dostał książeczkę od następcy jego, mieszczącą w sobie wiele ciekawości, którą rozłożywszy, miał czytać otaczającym go.

— Mój Boże! co za szkoda, szepnął ogrodnik, że my nie umiemy czytać; książka ta jest dla nas na zawsze tajemnicą.

— Ja zastąpię wasz niedostatek, odrzekł Mateusz, a módlmy się, by iskierka światła i dla was zabłysła; i to powiedziawszy, zaczął słuchaczom czytać rozdział, pod tytułem: *Szkółka wiejska* w *Jarzębnie*, z której wam niektóre kawałki opowiemy.

Stan kmiotków mógłby być najszczęśliwszym, mawiał ów siwowłosy nauczyciel, gdyby iskra oświaty przeniknęła do ich serc i umysłów; życie ich bowiem pełne prostoty, wolne od przymusu i względów światowych, byłoby wzorem patryarchalnego szczęścia. Z tego założenia wyszedłszy, mawiał on dzieciom: widzicie te piękne kwiaty? Co za rozmaitość nieopisana: ten purpurowy, ów liljowy; tu róża pachnąca, a tam fiołek i makówka polna. I ludzie podobnie jak te kwiaty są różnych stanów, różnej urody i bogactw. Gdyby między kwiatami były tylko same róże, nie byłoby zbawiennych ziółek na kalectwa. Wam nie dał Bóg bogactw, urodziliście się synami kmiotków, abyście orali i zasiewali ziemię. Szczęśliwą jest wasza dola, bo szczęście leży w duszy człowieka, daje je cnota i praca, a więc je w waszej lepiance i wy znaleść możecie.

Podobnie uczył dzieci o pracy, rodzinie, o stworzeniu świata, o jego częściach, o różnych ludnościach, o murzynach, składzie ziemi, i t. p.: że w tej ziemi jest złoto, drogie kamienie, ale największy jej skarb jest zboże, które wydaje. A cóż to za chwała uprawiać i upiększać tę ziemię, którą Bóg tak bogatą stworzył—zaszczyt ten właśnie dostał się w udziele kmiotkom, którzy ją orzą i zasiewają.

Pomijając wiele innych nauk i powiastek, zwracamy uwagę na ładny obrazek pod napisem *Kasia.* Jestto rzewna powiastka o młodej sierocie, którą córka dziedziczki czytać nauczyła, i w czytaniu otworzyła jej źródło pociechy na gorzką dolę sierocego losu.

Albo czytajcie uważnie rozdział pod napisem: *Panicz i Chłopek.* Władzio syn pani kasztelanowej bawił się z Tadeuszkiem, wiejskim chłopcem, który się najlepiej uczył w szkółce. Nadszedł Oleś, rówiennik Władzia i zaczął wymawiać swemu koleżce, iż się bawi z prostakiem.

— On taki człowiek, jak i ja, odpowiedział Władysław.

— Taki?— oj nieprawda; ty masz wsie, on ledwie słomą pokrytą chałupę, ty nosisz cienkie sukno, on grubą siermięgę, ty się uczysz, on orać będzie.

— Mylisz się mój drogi, kto jest użyteczny ludziom, ten jest prawdziwym obywatelem, godnym, aby go każdy nazwał bratem; sukmana cnoty nie poniża. Więc Tadeuszka kochać należy, tém bardziej, że on sierota, niedawno matka mu umarła.

Chłopek zalał się łzami na te słowa, chciał ucałować ręce Władysława, ale ten nie pozwolił i uściskał go za szyję.

Piękny ten postępek Władysława upokorzył jego towarzysza, który się o tyle rozrzewnił, że łez również wstrzymać nie mógł i podał rękę Tadeuszowi.

W szkółce Jarzębińskiej nauka nie poszła w las, jak to mówią.

Tadeuszek biednemu chłopięciu idącemu w mróz boso do lasu po gałęzie, oddał własne obówie, drugi chłopiec wyratował tonącego ze stawu, inny podobnie pięknym czynem się odznaczył; a lubo każdy dobry uczynek w sumieniu człowieka znajduje najlepszą zapłatę, chłopcy ci jednak na rocznym popisie szkolnym zasłużone z rąk dziedziczki odebrali nagrody.

W Jarzębnie oddawna we dworze pani włości utrzymywała szkółkę dziewcząt wiejskich, zajmujących się różnemi ręcznemi wyrobami, pracą około ogrodu, kuchni i t. p.

Dalej godny naśladowania, również chwalebny pomysł urządzenia na Ś. Michał wystawy we dworze różnych włościańskich wyrobów i owoców dobrego gospodarstwa.

Widzimy teraz podobną wystawę w Jarzębnie, na której otrzymały nagrody: Walentowa za zbieranie ziółek na lekarstwa, Małgorzata za najlepsze płótno własnego wyrobu,

którem cały dom i dzieci zaopatrywała, Bartkowa za pończochy, Wojtuś za sieci rybackie, Kaśka za pielęgnowanie olbrzymiej rzepy, Marcinowa za tkankę na fartuchy, Janusz i Bartosz za wystawienie bez zapłaty *krzyża na cmentarzu* i t. p.

I minęło tak lat 20, w cichej wiosce Jarzębnie. Jakież tu zmiany!.. dziedziczka postarzała, młody Władzio już dziś był ojcem, Tadeuszek zastąpił miejsce zgasłego plebana, i oto teraz poświęcał *figurę* męki Pańskiej, kosztem gromady wystawioną.

Sliczny jest w tej książeczce obrazek pod tytułem *Dzień Zaduszny*.

Dzwon poranny rozległ się smutnie po polach Jarzębna, odpowiedział mu głucho szelest zeschłych liści i świst wiatru jesiennego po nagich drzew gałęziach. Dziś dzień Zaduszny; tkliwy to obchód. Każda rodzina inną otacza mogiłę i łzami rosi, modlitwa i łzy całej wsi są dziś natchnieniem, mogiła i kościół, to plac i pole jej uczuć.

Patrz, ot tam zdaleka klęczy na samotnym grobie i łzy wylewa dwoje ludzi. To Aneczka, dawna sierota, wychowanka Walentowej, a mężczyzna, to Antoś, który dziś z Anusią żoną swoją płaczą na mogile matki i dobrodziejki, tej, która utuliła kiedyś sieroctwo biednej dziewczyny, a kiedy przed ślubem w białej sukni z rozmarynem we włosach płakać zaczęła na swe sieroctwo panna młoda, nieboszka to wtedy rzekła do niej:

—Spojrzyj Aneczko za siebie, a poznasz, że cię Bóg nie opuścił, oto gromada cała, co się opiekowała tobą; patrz, co to masz ojców i matek.

Oby każdego z nas popioły tak cicho spoczęły obok kości ojców naszych, zwilżane łzą wdzięcznej miłości, jak spoczywały popioły tej cichej wiejskiej dobrodziejki.

—

Deszcz lał jak z cebra, smętność i ponurość listopada objęły całą naturę, nawet serce człowieka. Noc ciemna, jedenasta wybiła; puste pola cichego Jarzębna, śpią mieszkańcy jego spokojnie, ale ktoś od lasu dąży ku plebanii. Któż to, skąd i po co w tę porę? Przybył do furty, zapukał—ksiądz pleban otworzył.

— Kto tam?

— Śpieszcie ojcze Tadeuszu, bo człowiek umiera.

Szanowny kapłan wziął Ciało i Krew Pańską i przy latarni przybyłego chłopca wiejskiego Kostusia pośpieszył, gdzie go obowiązek wzywał.

Pod lasem, w chałupie, gdzie dawniej młynarz mieszkał, leżał człowiek zarośnięty, okryty łachmanami. Kapłan usiadł przy nieznajomym na słomie, zaczął go jak anioł pocieszyciel przygotowywać na wielką tajemniczą drogę wieczności; umierającemu łzy z oczu pociekły, wychudłą ręką ujął dłoń kapłana i wyjąknął: Tadeuszku!

Zacny pasterz zadrżał na ten głos mu znany; ów człowiek był to Maciej, chłopek z Jarzębna, towarzysz szkolny Tadeuszka, który rzuciwszy rodzinną wioskę, puścił się w świat, żądny jego uciech i rozkoszy, doszedł przez złe życie do żebractwa, a dziś prosi o ostatnie rozgrzeszenie.

Ksiądz pleban dopełnił świętego obrzędu, chory upadł z wysilenia i oddał Bogu ducha, obecni mówili pacierz za jego duszę, a głuchy szelest wierzby wtorował ich smutkowi.

Takie powieści rozpowiadał nauczyciel w szkółce Jarzębińskiej; ale czas ma swoje wielkie prawa. Pochylony wiekiem czuł coraz bardziej ciężar trudu około kształcenia młodocianych umysłów; zapragnął więc znaleść następcę. Jakoż miejsce jego zajął teraz Janek, uczeń szkółki Jarzębińskiej, który godnie zastąpił swego nauczyciela. Stary zaś wojak osiadł sobie w domku murowanym, o czerwonym dachu, wśród drzewek i kwiatów stojącym, który mu dziedziczka własną ręką urządziła.

Przed jego domkiem zbierała się zawsze gromada, gdzie nieraz z nowym nauczycielem późno w noc radzili oba o szczęściu kmiotków; bo nie ma chlubniejszej pracy, nad oświecanie serca i umysłu prostaczków, którzy również są naszą bracią w Chrystusie.

—

W ogóle *Szkółka wiejska* z największą przyjemnością się czyta; wieje z niej duch prostoty i miłości. Zacna dziedziczka, poczciwa gromada włościańska, dziewczęta i chłopcy, stary nauczyciel i szanowny pleban żyją tu razem w jednej wielkiej rodzinie, którą miłość jednoczy, a błogosławieństwo Boże otacza.

W drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 30 czerwca (12 lipca) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*